

Młodzi, gniwni, niebezpieczni

30 listopada 2013

Brytyjskie uniwersytety będące przez dekady ośrodkami swobodnej wymiany myśli i idei złożyły wolność wypowiedzi na ołtarzu wolnego rynku. Młyny menadżerów przerabiających uniwersytety w edukacyjne hipermarkety napotykają jednak opór.

Z początkiem lat 1990. edukacja, jak każda inna dziedzina, została wpleciona w tryby efektywności. Uzyskany, głównie wysiłkiem finansowym rodziców, z niewielkim intelektualnym poświęceniem absolwenta, dyplom wyższej uczelni miał się przede wszystkim opłacać. Być przepustką do kariery. Drogim biletem do wymarzonego zawodu. Przedstonkiem korporacji. Wylęgarnią produktywnych specjalistów. Pozbawiony większego sensu, pełen chaosu wolny rynek szybko te założenia zweryfikował, o czym najdobitniej przekonali się polscy absolwenci wyższych uczelni – zamieniając indeksy i dyplomy na bilety Ryanair – którzy na pożegnanie otrzymali od tych, co zostali w kraju, pogardliwe komentarze zawierające się w hasło: „Trzeba było iść na politechnikę”. Błędna z założenia logika wolnego rynku, w którą wpisały się polskie wyższe uczelnie, wyszła z tego bez szwanku. Problem i odpowiedzialność za niepowodzenia pokolenia wyjechanych przerzucono na jednostki – absolwentów marketingu, politologii, socjologii, dziennikarstwa i wszelkich innych masowo otwieranych w czasach edukacyjnego boomu kierunków, które dzisiaj masowo się dyskredytuje.

STUDENT Z FOLDERU

System, który został wprowadzony w Polsce, jest odbiciem procesów zachodzących w krajach anglosaskich. To w Wielkiej Brytanii ukształtowała się idea uniwersytetu działającego jak korporacja. I to one stały się liderem i centrum baumanowskiej

„płynnej nowoczesności”, przeszczepiając korporacyjny ładu na ośrodki uniwersyteckie w innych krajach. Jedynym kryterium rządzącym brytyjską edukacją (a przy okazji także edukacją w krajach peryferyjnych, takich jak Polska) stała się efektywność. Brytyjskie szkoły mają za zadanie wyprodukować jak najwięcej absolwentów legitymujących się papierem małej albo dużej matury (O- albo A-levels), a brytyjskie uniwersytety tylko dokładają kolejne rzesze graduates. Brytyjscy studenci w tej nowej rzeczywistości świetnie się odnajdowali. Gorące polityczne dyskusje, kontrowersyjne idee, młodzieńczy bunt i utopijne pojmowanie rzeczywistości charakterystyczne dla ośrodków akademickich ustąpiły pola wyrachowanym planistom przyszłych karier. Niepokorny student, zgodnie z biznesplanem uczelni, zarządzanych już nie przez nieporadnych i nieprzystających do nowoczesności profesorów, ale przez prężnych, młodych menadżerów i biznesmenów, został zamieniony w idealnego konsumenta edukacyjnej papki. Ideałem stał się grzeczny, nieskomplikowany student z zagranicy. Sowiecie opłacający czesne i po uzyskaniu dyplomu grzecznie wracający do swojego kraju. Albo robiący karierę w City, które w praktyce – zwłaszcza podatkowej – też jest zagranicą.

Akademickie campusy przekształcono zaś w edukacyjne hipermarkety. Z nieograniczoną ofertą produktów na półkach w postaci różnorakich, często nikomu niepotrzebnych kursów oraz rzeszą nisko opłacanych pracowników edukacyjnego zaplecza – sprzątaczy, ochroniarzy, kucharzy itp., zatrudnianych nie bezpośrednio przez uczelnie, ale, by minimalizować koszty, prywatne firmy. W tym biznesplanie profesorowie zamienili się w liderów, których najważniejszym zadaniem niekoniecznie jest uczenie czegokolwiek, ale pozyskiwanie grantów i pozowanie do zdjęć umieszczanych później w reklamowych folderach uczelni. Jednak w tym korporacyjnym ładzie, gdzie każdy trybik powinien znać swoją rolę i swoje miejsce, powoli pojawiają się zgrzyty, o czym świadczy nagłe zainteresowanie studentami sił policyjnych – wzywanych przez menadżerów zarządzających uniwersytetami.

STUDENT W KAJDANKACH

To (jeszcze?) nie jest rozgorączkowane politycznie pokolenie roku 1968, ale po 2010 r. i masowych studenckich protestach przeciwko podwyższeniu czesnego polityczny aktywizm brytyjskich studentów znacznie się nasilił, wprawiając w nerwowość zarówno policję, jak i uczelniane administracje. Trzy tygodnie temu na swoich stronach internetowych niezamordowany w demaskowaniu wszelkich przejawów państwa policyjnego dziennik „Guardian” umieścił film nakręcony ukrytą kamerą, w którym policyjny tajniak próbuje namówić studenta do szpiegowania kolegów. W zamian za korzyści finansowe aktywista miałby pozyskiwać informacje o innych działaczach studenckich (zwłaszcza liderach), planowanych akcjach protestacyjnych, pojazdach, którymi przemieszczają się protestujący, oraz infiltrować Facebooka w poszukiwaniu przyszłych demonstracji. Na celowniku policji znalazły się: UK Uncut, Unite Against Facism, Cambridge Defend Education oraz – tradycyjnie – ekołodzy. Kiedy sprawa wyszła na jaw, policja w Cambridge tłumaczyła swoje zainteresowanie szpiegowaniem studentów nieśmiertelnym „bezpieczeństwem narodowym”, ale ostatecznie w publicznym oświadczeniu zdecydowała się na formułkę o „próbie powstrzymania ewentualnej aktywności kryminalnej”. Do rangi wroga numer jeden awansował zwłaszcza lider związków studenckich oraz Krajowej Akcji Przeciwko Opłatom i Cięciom (The Campaign Against Tax Avoidance and Government Cuts) – Michael Chessum, który dwa tygodnie temu został aresztowany podczas niewielkiej i rutynowej demonstracji na terenie uniwersytetu w Londynie. Warunkowo wypuszczony po dwudziestu czterech godzinach 24-latek otrzymał zakaz udziału w jakiegokolwiek „demonstracji na kampusie oraz w okolicach wszelkich innych uniwersytetów”. Czy chodzi również o szkoły wyższe poza granicami Wielkiej Brytanii? To pozostaje kwestią dyskusyjną.

ZBUNTOWANI KONSUMENCI

Dyskusyjne było także zatrzymanie 25-letniej studentki, która

na tym samym uniwersytecie – podczas akcji zorganizowanej latem, której uczestnicy domagali się płatnych urlopów, emerytur i praw pracowniczych dla ludzi pracujących dla uniwersytetu, ale zatrudnionych przez agencje pracy tymczasowej – pisała slogany na murze kredą. Zwykłą, zmywalną wodą i gąbką kredą. Jeśli brzmi to jak farsa, to filmowanie uczestników studenckich protestów przez władze uczelni z balkonu The Senat House, który posłużył jako inspiracja dla Ministerstwa Prawdy George'a Orwella w jego „Roku 84”, zamienia się już w groteskę. A jednak, jak wyjaśnia biuro prasowe University of London, to rutynowa praktyka stosowana po to, aby „nie było żadnych problemów, gdy policja zażyczy sobie materiałów wideo dokumentujących przebieg demonstracji”.

Ścisła współpraca policji i administracji uczelni staje się powszechna i rozprzestrzenia się po całej Wielkiej Brytanii. Związki studentów twierdzą, że zarówno policja, jak i prywatna ochrona uniwersytetów koordynują swoje zadania, wzajemnie się wspierając i uzupełniając podczas studenckich protestów. Zaś władze uczelni naciskają na większą obecność sił policyjnych na kampusach. Do pokazówki doszło chociażby na terenie Uniwersytetu w Sussex w kwietniu tego roku, kiedy protest studentów przeciwko fatalnym formom zatrudnienia personelu pomocniczego (sprzątaczek, kucharzy itp.) został stłumiony przez oddziały policyjne z psami, a postrach wzbudziły tzw. riot vans – opancerzone wozy policyjne wykorzystywane zazwyczaj podczas masowych protestów.

I o ile praktyka policji jest w jakimś sensie zrozumiała ze względu na problematyczne przekonanie o ewentualnym „zagrożeniu życia i mienia” lub „bezpieczeństwa narodowego”, o tyle aktywna rola władz uczelni w tłumieniu studenckich protestów jest czymś nowym. W końcu przez wieki uniwersytet był miejscem swobodnej wymiany nawet najbardziej dziwacznych czy kontrowersyjnych myśli oraz promowania intelektualnych dociekań. Jednak w czasach wolnorynkowych uczelni nastawionych przede wszystkim na zysk i rywalizację z innymi edukacyjnymi

hipermarketami taka aktywność konsumentów-studentów jest nie tylko niepożądana, ale przede wszystkim antykomercyjna. A to jest dla współczesnej brytyjskiej edukacji śmiertelne zagrożenie, gdyż, jak twierdzi Andrew McGettigan, autor książki „The Great University Gamblee”: „Wszystko, co zakłóca ład i porządek, psuje biznesplan”. Bunt brzydko wychodzi na zdjęciach do folderu.

Pocieszające, że brytyjscy studenci budzą się po latach z politycznego letargu. Pytanie: kiedy z edukacyjnej hipermarketowej fatamorgany otrząsną się ich polscy rówieśnicy?

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)